

## Stefania Podhorska-Okolów – *Czterej stoicy i powstanie*

„Twórczość”,  
nr 1 z 1960 r.

Jest to chyba najdziwniejsza książka o powstaniu warszawskim. Może dlatego, że stanowi ono mocno zamglone tło, widziane przeważnie oczami starszego pana, Feliksa Vicentiego, właściciela małej czytelnicy przy ulicy Żurawiej i pokazanego zbioru starodruków; Vicenti niemal całe powstanie spędza w zacisznym parterowym mieszkanku z oknami na podwórze. Młodszy od niego trzej przyjaciele z uwagi na jego wiek i chorobę serca starają się ukryć przed nim okropności wojny. Nic nie pomogą jednak dymne osłony psychiczne. Rzeczywistość wderze się brutalnie i do tego azylu czterech mężczyzn, z których każdy reprezentuje inny zawód, inną religię, odmienny światopogląd i dziwactwo. Pan Wincenty, wyznawca nauki Kalwina, którego popiersie czuwa nad jego prawowiernością z wysokości szafy bibliotecznej, jest właściwie typem łagodnego sceptyka. Quadratus, zwany tak przez przyjaciół dlatego, że jego konikiem jest rozwiązanie kwadratury koła, mieszkał dłuższy czas w Belgii i wmieszał się czynnie w sprawy najmniejszego państewka na świecie, Moresnetu. Tatar, przezwany tak, gdyż jest potomkiem dawnych Tatarów polskich i mahometaninem, pracuje bezskutecznie nad soczewką do wyświetlań trójwymiarowych. Wreszcie najmłodszy z nich wszystkich, bo czterdziestokilkuletni, Afrykander, lekarz z powołania, przebywał szereg lat w Afryce. Najbardziej tajemniczy spośród czterech dziwaków.

Informacje te zaczerpnięte są z krótkich *curriculum vitae*, zamieszczonych we wstępie przez autora. Stanowią one jednak jedynie suchy szkielet, który dopiero przeżycia powstaniowe, a jeszcze bardziej wspólne rozmowy zwiążą krwistą muskulaturą. Pod namulem przejść i klęsk życiowych ujawnią się niewyżyte żyły złota: złoża prawdziwego człowieczeństwa. Ten psychologiczny proces przeprowadzony jest niemal niedostrzegalnie. Czytelnik zdaje sobie z niego sprawę *ex post*, po skończeniu książki, aby rozpocząć jej czytanie po raz drugi i sprawdzić trafność swoich pierwotnych wrażeń.

Tak, istotnie, nie powstanie jest tu najważniejsze, ale rozmowy wieczorne czterech panów, którymi instynkt samozachowawczy każe się odgrodzić choć na kilka godzin od potwornych wypadków. Te rozmowy, wysnute zawsze z faktów i tematów jak najbardziej odległych od teraźniejszości w miejscu i czasie, stanowią rzeczywiście najskuteczniejsze antidotum przeciw truciznie załamania się, która powalała w tych „czasach pogardy” nawet najodporniejszych. Tworzą one zarazem właściwą oś i ciężar gatunkowy książki, która bez nich przestałaby być tym, czym jest: kapryśnym *scherzo*, zmieniającym co chwila motyw i tonację, aby dopiero w finale związać je wspólnym tematem.

Czegóż bowiem tu nie ma w tym swoistym *silva rerum*? Od przepisu na przyrządzenie leku z kruszyny na podstawie osiemnastowiecznej książki o ziołach aż do opowieści o operetkowym państwie Moresnet, zrodzonym na pograniczu Belgii i Prus z niedopatrzania kartografów, którzy po Kongresie Wiedeńskim parcelowali Europę. I bezczelny pomysł Tatara, który kopię drzeworytniczą ze

znanego portretu Kopernika z konwaliaż rozpowszechniał na Kurpiach z podpisem: „Alabaster, patron ziemi kurpiowskiej”. Nie koniec na tym! Quadratus pisze i wydaje pracę o nieistniejącym stolarzu wiedeńskim, Jakubie Biedermeiere. Szczęściem wskutek wybuchu wojny nakład spłonął.

Te nocne „rodaków rozmowy”, to *panopticum* niewiarogodnych przygód, dowcipnych falsyfikatów, nieszkodliwych malwersacji i osobliwych odkryć, choćby owego źródła w Wogezach, nad którym widniał napis, wykuty w piaskowcu: „O, gdybym mógł zapłakać, to łzami bym zapłakał po tobie, dobry królu!”. Napis odnosił się do Stanisława Leszczyńskiego, który źródła mineralne Plombières, znane jeszcze w starożytności, kazał odkopać i eksploatować na nowo.

Erudycja i inwencja autora w dziedzinie fascynującej anegdoty i intelektualnego dowcipu znajdują tu jeszcze większe pole do popisu niż w *Pamiętniku Filipka*. Służą one do przyrządzania rzadkich i wymyślnych dań, których wartość ocenić mogą w pełni tylko prawdziwi smakosze. I tu nasuwa się pokrewieństwo z Anatolem France. To samo igranie z inteligencją, pomysłowość, ten sam gatunek ironicznego humoru, ten sam sceptyczny i pobłażliwy uśmiech w podtekście, ta sama bezceremonialność w traktowaniu ustalonych zasad, kanonów i przesądów, wreszcie ten sam filozoficzny spokój. Zarówno autor, jak i jego „pomyłeńcy”, nigdy nie wychodzą z siebie, nie tracą równowagi, nie popadają w rozpacz ani nie unoszą się niezwykłym zapalem.

To już jest specyficzność stylu Zambrzyckiego, że brakiem patosu wywołuje najsilniejsze wrażenie tam, gdzie ktoś inny nie mógłby się obejść bez grzmiących słów, z których większość okazałaby się niewypalami. Tutaj nawet wybuch bomb i „krów”, nawet przeloty najcięższych pocisków z działa kolejowego nie ogłuszają piekielnym hałasem, chociaż niosą śmierć. Mówi się o nich głosem przyciszonym, jak o sprawach natrętnych, a jednak nieuniknionych.

Niezdolne są one zakłócić rozmów „pomyłeńców bożych”, zwłaszcza gdy schodzą na tematy metafizyczne, w miarę jak egzystencja czterech przyjaciół staje się coraz cięższa.

Niechęć do patosu rozciąga się i na momenty dramatyczne, potraktowane z epickim spokojem i powagą, które im nadają kształt monumentalny. Takim jest epizod o wyprawie pana Wincentego podziemnymi przejściami do szpitala, w którym leży poparzona przez „krowę” Lucynka, pracowniczka jego czytelnicy, i moment karmienia bezwładnej dziewczyny przyniesioną przez pana Wincentego czekoladą. Wstrząsający w swej realistycznej prostocie jest opis operacji wyjmowania kuli z jelit młodego powstańca, operacji, której podejmuje się Afrykander, uchodzący dotychczas za ochotnika-posługacza. Wreszcie małym arcydziełem artystycznego umiaru, dyskrecji wyrazu i oszczędności słowa jest relacja o śmierci Afrykandera, jego pogrzebie i pośmiertnym odkryciu, jakiego dokonują jego przyjaciele. Natychmiast po pogrzebie pan Wincenty pokazuje księdzu tajemniczy zwitek. Jest to sznur z surowej wełny, którym opasane były biodra nieboszczyka.

– Tak, to surowa wełna – oznajmia ksiądz. – Przyjaciel panów był franciszkaninem.

Teraz wyjaśnia się wszystko. Prostota i skromność zmarłego, pokora, z jaką podejmuje się najniższych posług przy chorych, ukrywając swój tytuł doktorski, odwaga, z jaką decyduje się na wykonanie trudnej operacji wyjęcia kuli z jelit młodego powstańca, jego dobroć i słodycz wobec ludzi cierpiących i bezbronnych zwierząt, jego przesadne gorszenie się kpinami z religii, jego niechęć do Kalwina, którego nazywa półkozicem i łyskiem...

Na próżno czterej przyjaciele starali się odseparować od okropności powstania. Wraz ze śmiercią jednego z nich przedarło ono dymne zasłony ochronne i triumfalnie wkroczyło do „kwatery bożych pomyleńców” Dlaczego „bożych”? Na to pytanie odpowie finał książki. Jesteśmy po kapitulacji. Pan Wincenty z towarzyszami zbierają się do *exodusu* z Warszawy. Męczy ich głód i awitaminoza. Ich dotychczasowy niezłomny stoicyzm ustąpił miejsca zniechęceniu. Wychodzą na podwórze, gdzie właśnie ksiądz odmawia z tłumem pobożnych litanie do Matki Boskiej. W *Naszej Pani Radosnej* kult Wenus przerodził się w kult dla Madonny. Tutaj jesteśmy świadkami, jak trzej sceptycy ulegają czarowi zbiorowej modlitwy.

Znamienna jest reakcja każdego z nich na słowa litanii.

Tatar myślał: „To samo słyszałem na Podlasiu w ciepłe wieczory majowe, ale nie chciało mi się wnikać w znaczenie tych słów”.

Quadratus: „Nie wiedziałem, że modlitwa może być tak przyjemna”.

Pan Wincenty: „Litania, którą słyszę, jest jednak dziełem sztuki, jest jasnym dowodem, że wśród mnichów trafiali się poeci”.

Po czym klękają wszyscy i bezwiednie powtarzają inwokacje litanii.

Stanowczo Anatol France nie podpisałby tej książki...